

Tadeusz Petrowicz

OPOWIEŚCI LEŚNICZEGO ZIMOWE SPOTKANIE Z WILKIEM¹

Zima, mająca się już ku końcowi, niespodziewanie wróciła na początku marca. Śnieg walił bez przerwy cały tydzień, wicher huczał i miotał śniegiem, życie jakby zupełnie zamarło. Wreszcie po zamieci wstał piękny mroźny ranek, pokazało się słońce i wiatr ustał zupełnie. Odkopałem tunel do obory i drugi do studni, a kiedy skończyłem, wyciągnąłem narty, zarzuciłem plecak na plecy i pojechałem zobaczyć, co słychać w lesie. Ponieważ czekała mnie trudna przeprawa przez zawiany śniegiem teren, postanowiłem nie obciążać się zbyt i zrezygnowałem z zabrania strzelby.

Początkowo wszystko szło dobrze, ale kiedy ujechałem spory kawał drogi, zobaczyłem nagle świeży trop wilka. Z tego, co było widać, można było sądzić, że wilk jest duży. Z wilkami byłem oswojony od dawna, w swojej pracy często się z nimi spotykałem, ale teraz sytuacja była wyjątkowa, bo i droga ciężka, i ja jak na złość nie miałem strzelby. Wracać do leśniczówki było już za późno, straciłbym za dużo czasu, machnąłem tylko ręką i pojechałem dalej. Dojechałem do końca Zimnego Potoku i zacząłem mozolną wspinaczkę na przełęcz pod Hajnikiem. W połowie drogi znowu trafiłem na znajomy trop wilka. Musiał być głodny, bo krążył po łowisku. Byłem zły na siebie, że nie zabrałem strzelby, ale na to nie było już rady. Po prostu nie przewidziałem tego, że mogła mi być potrzebna i to właśnie dzisiaj. Z trudem piąłem się w górę, kopny śnieg leżący grubą warstwą utrudniał wspinaczkę po stromym stoku. Bez nart nie można by było nawet marzyć o pokonaniu tej stosunkowo niedługiej trasy.

Powoli dochodziłem do przełęczy i pomimo zmęczenia byłem bardzo zadowolony z tego, że jestem w terenie. Śnieg skrzył się w słońcu, a kiedy patrzyłem w dół, za siebie, las wyglądał cudownie, zupełnie jak w zaczarowanej bajce. Ciszę tego bajkowego świata przerywał tylko werbel dzięcioła, pracowicie wykuwającego owady spod kory drzew. Ale ta cisza była tylko pozorną. Las żył, a gruba warstwa śniegu kryła przed ludzkim okiem niejedną leśną tajemnicę.

Na mojej drodze tropy wilka coraz częściej krzyżowały się z tropami saren. Właśnie dochodziłem do leśnej polany, położonej pod samą przełęczą, i wchodząc na odkrytą przestrzeń zobaczyłem wyraźne ślady tragedii, jak rozegrała się tu przed moim przybyciem. Na zdeptanym śniegu żywym kolorem odbijała się czerwień farby (krwi) obficie

¹ Opowiadanie jest fragmentem rozdziału „Blaski i cienie kariery młodego leśnika. Leluchów” z książki Tadeusza Petrowicza *Od Czarnohory do Lublina*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2002. Tytuł pochodzi od redakcji.

rozlanej po całej polanie. Ofiary nie trzeba było szukać daleko. Opodał, pod zwałonym niem jodły, leżała rozdarta sarna. Gdy podszedłem bliżej, stwierdziłem, że była jeszcze ciepła. Rabuś musiał być gdzieś niedaleko. Na pewno spłoszył go odgłos mojej wspinaczki. Zacząłem pilnie rozglądać się wkoło, ale wszędzie było pusto, tylko sarna leżała nieruchomo na śniegu, a z jej wyszarpanego wnętrza unosiła się para. Cóż można było zrobić, ażeby dostać rabusia, który na pewno czaił się gdzieś w pobliżu? Istniała tylko jedna możliwość. Do Dubnego – celu mojej wyprawy – było już niedaleko. Tam mieszkał Grucela, który miał broń. Należało jak najszybciej zjechać z przełęczy do niego i wrócić tu ze strzelbą. Wilk, który nie zaspokoił głodu, na pewno będzie krążył koło swojej ofiary, więc może uda mi się dostać go na odległość strzału.

Jak pomyślałem, tak też zrobiłem. Wyszedłem na przysypaną śniegiem ścieżkę, ruszyłem w stronę przełęczy. Ledwie zrobiłem parę kroków, zobaczyłem go przed sobą. Siedział na polanie (ogon, w gwarze myśliwskiej), był olbrzymi i patrzył na mnie ponuro. Poczułem, jak robi mi się gorąco. Sytuacja nie była wesoła i w pierwszej chwili nie wiedziałem, co mam robić. Myśli jak błyskawice przelatywały mi przez głowę, szukałem gorączkowo jakiegoś wyjścia, wiedząc, że nie wolno mi się denerwować. Na pozór spokojnie patrzyłem na wilka, który jak posąg tkwił na miejscu, bez ruchu. Zdawałem sobie sprawę z tego, że jestem na nartach i na stromym stoku, więc w przypadku ataku wystarczyło dobre odbicie kijami, a wtedy żaden wilk nie dogoniłby mnie. Wiedziałem również, że pojedynczy wilk jest raczej tchórzliwy i rzadko atakuje, ale diabli wiedzą, jak będzie reagował ten, który jest na pewno głodny, a może mieć do mnie pretensję za przerwanie mu uczyty.

Postanowiłem jednak spróbować. Mając się na baczności począłem powoli, ale zdecydowanie, iść prosto na siedzącego wilka. Był oddalony o jakieś 25 do 30 kroków i ciągle patrzył na mnie. Zrobiłem pięć kroków, wilk poruszył się niespokojnie. Pomyślałem – skoczy, czy nie skoczy. Jeszcze parę kroków i widzę, jak wilk podnosi zad i, ciągle patrząc na mnie, wolno usuwa się w bok od mojej drogi. Odetchnąłem z ulgą, ale nie zwolniłem kroku. Wilk odchodził na skraj polany, a ja dalej szedłem przed siebie. Byłem już spokojny, bo wiedziałem, że ten pojedynek wygrałem. Teraz każdy krok oddalał mnie od wilka. Szybko dotarłem do przełęczy i tu doszło mnie z dołu ponure wycie, którym basior ogłaszał swoje niezadowolenie z racji przerwanej uczyty.

Gdy za dwie godziny wróciłem, mając już broń Gruceli, nie było na polanie ani wilka, ani sarny. Pozostały tylko ślady uczyty i tropy nowych wilków, które dołączyły na zew basiora.